



MIECZ JAHWE
TOM II

Trąby Jerycha

Biblijna fantastyka heroiczna

MAREK MIGAŁA

PRAWA AUTORSKIE © Marek Migąła, 2026
PIERWSZE WYDANIE POLSKIE
Oryginalny tytuł: Miecz Jahwe. Tom II: Trąby Jerycha
Projekt okładki: autor
Ilustracje i mapy: autor
Redakcja: autor

*Dla tych, którzy przegrali własną bitwę – i wstali, by
stoczyć następną.*

SERIA MIECZ JAHWE

TOM 0 *Córka Pustyni*

TOM I *Pierwsza krew na pustyni*

TOM II *Trąby Jerycha*

TOM III *Płonący Hazor*

TOM IV *Fundamenty Szilo*

TOM V *Kły i Łuk*



Mapa: Ziemie Kanaanu w czasie wojny — Egipt, Synaj, pustynia Paran, Jerycho, Hebron, Moab, Edom

S P I S T R E Ś C I

Prolog · Cień na Kamieniu	6
Rozdział I · Dom przy Murze	24
Rozdział II · Gilgal	39
Rozdział III · Za Murami	53
Rozdział IV · Noc i Raport	68
Rozdział V · Trąby Jahwe	96
Rozdział VI · Krew Jerycha	116
Rozdział VII · Pałac Natasza	149
Rozdział VIII · Po Jerychu	163
Rozdział IX · Dwa Oblicza Aj	188
Rozdział X · Hazor	213
Rozdział XI · Iskra w Ciemności	229
Rozdział XII · Szakale Północy	252
Rozdział XIII · Rozkazy Elisura	265
Rozdział XIV · Pakt Wilków	280
Rozdział XV · Człowiek, Którym Był Elisur	294
Rozdział XVI · Żelazo Hermonu	304
Rozdział XVII · Droga Melchiora	319
Rozdział XVIII · Noc Dziewięciuset Rydwanów	331
Rozdział XIX · Triumf Wykuty w Ogniu	347
Rozdział XX · Popiół i Chwała	361
Rozdział XXI · Dwaj Żebracy	383
Rozdział XXII · Medalion w Kurzu	393
Rozdział XXIII · Ogień w Wąwozie	403
Rozdział XXIV · Wrócili	424
Rozdział XXV · Śladem Tablic	446

Cień na Kamieniu



Noc nad Jerychem była gęsta jak smoła, ciężka od zapachu kadzidła i starego dymu ofiarnego, który przez pokolenia wsiąkł w kamień świątyni Baala aż po same fundamenty. Księżyc skrył się za chmurami, jakby nie chciał patrzeć na to, co miało nastąpić. Na ulicach nie było nikogo — ci, którzy widzieli sześć ciemnych sylwetek przemierzających miasto o tej porze z tobołami okrytymi płótnem, mieli dość rozumu, żeby wejść w bramę i zaciągnąć za sobą zasuwę.

Elisur syn Szedejura szedł przodem.

Nie śpieszył się. Elisur nigdy się nie śpieszył — pośpiech był cechą ludzi, którzy nie przemyśleli rzeczy do końca, a Elisur przemyślał wszystko trzy razy, zanim wykonał pierwszy ruch. Szedł spokojnym krokiem człowieka, który idzie własną ulicą do własnego domu, i to przekonanie nosiło się w jego postawie bez wysiłku, bo przez całe życie wszędzie chodził tak samo: jakby ziemia należała do niego i tylko łaskawie pozwolił innym po niej stąpać.

Za nim czterech ludzi niosło ciężar, który nie mógł mieć ciężaru — dwie płyty kamienia owinięte w podwójne płótno, które Elisur kazał nasączyć oliwą mirry i owinać jeszcze skórą kozłącą, bo tak mu

powiedział jeden z kapłanów: żaden materiał nie powinien dotykać powierzchni bezpośrednio, dopóki nie wiedzą, z czym mają do czynienia. Niosący szli w ciszy. Dwóch z nich, stary Szerebiasz i młodszy Nachum, trzymało drągi tak jak się trzyma coś, o czym wiadomo, że jest niebezpieczne, i starało się nie myśleć o tym, co trzyma — co jest strategią skuteczną przez pierwszą godzinę, a potem przestaje działać.

Świątynia Baala stała przy murze północnym — niska, rozłożysta, zbudowana z kamienia tak starego, że budowniczowie zeszli z tego świata tysiąc lat temu i zapomniano nawet, jak się nazywali. Dwa posągi lwa u wejścia patrzyły w ciemność z tym spokojem, który mają rzeczy wykute w kamieniu i który jest zupełnie niepodobny do spokoju żywych stworzeń. Jeden z niosących poczuł na sobie wzrok posągów i odwrócił głowę. Kamienne oczy nie drgnęły. Mimo to coś w środku jego ciała tknęło go zimnem, które nie było nocną bryzą.

Kapłan czekał przy drzwiach.

MELCHIOR

Miał na imię Melchior — stary jak kurz, suchy jak kość zostawiona na słońcu dwa lata, z oczami nieporuszonymi jak te posągów. Patrzył na Elisura bez zaskoczenia, bo Melchior rzadko się czemukolwiek dziwił; kiedy żyjesz wystarczająco długo i widzisz wystarczająco dużo, zdolność do zdziwienia wypala się jak knot świecy, po której zostaje tylko tłuszcz. Obok niego stało dwóch młodszych — Baal-Szazar, którego tatuaże węży sięgały łokci, i trzeci, niski, o imieniu, którego nie wymawiano głośno, z dłońmi ciągle w ruchu, jakby modliły się osobno od właściciela.

— Przynieśliście — powiedział Melchior. Nie pytanie. Stwierdzenie.

— Przynieśliśmy — potwierdził Elisur. — Wejdziemy do środka, zanim ktoś uzna, że ma ochotę nas obserwować.

Melchior skinął głową i ustąpił z drogi.

Weszli w ciemność świątyni — prawdziwą ciemność, która ma inną jakość niż nocna ulica, ciemność pomieszczeń, gdzie przez pokolenia gaszone były wszystkie lampy prócz ofiarnych i gdzie ściany pamiętają każdą krew. Melchior prowadził bez lampy, bo znał drogę stopami i nie potrzebował oczu. Niosący szli za nim z ciężarem i starali się nie zahaczać o nic, bo w tej ciemności nie wiedzieli, o co można zahaczyć.

Zeszli do dolnej komnaty.

Tu płonęły lampy — nie dla przyjemności, ale jako konieczność rytualnego porządku. Przy ich świetle sala wyglądała jak wnętrze czegoś żywego: ściany okryte inskrypcjami w starym języku, stół z czarnego kamienia pośrodku, naczynia z gliny i brązu wzdłuż ścian, i w powietrzu ten konkretny ciężar, który mają miejsca długo używane do rzeczy, o których nie rozmawia się przy świetle dnia.

— Tu — powiedział Melchior.

Niosący złożyli ciężar na stole. Szerebiasz cofnął się pół kroku szybciej, niż zamierzał, i udał, że tego nie zrobił. Nikt nie zwrócił uwagi.

ROZMOWA LUDZI, KTÓRZY PRZEŻYLI

Elisur siadł bez zaproszenia, bo nie potrzebował zapraszania — to był gest, który wykonywał wszędzie i który był mniej zuchwałością niż przekonaniem, że wszystkie krzesła są jego do użycia według potrzeby. Melchior usiadł naprzeciw. Baal-Szazar i ten bez imienia stanęli z tyłu, w cieniu, tam gdzie kapłani stają, gdy nie chcą brać udziału w rozmowie, tylko ją słuchać.

— Zamach się nie powiódł — powiedział Elisur.

— Słyszałem.

— Jozue żyje. Kaleb żyje. — Elisur ułożył dłonie na kolanach z tą precyzją człowieka, który mówi fakty, a nie skargi. — Hanoch i Pallu nie żyją. Kowal Baraka rozbił im głowy. Jeden konno, drugi pieszo — obaj na granicy obozu. Kemuel jest w rękach Hufca. — Przerwa, krótka jak przerwa między cięciami. — Starałem się Kalebowi przy tym pomóc, ale starzec ma ciało ze skały i nie chce się dać zabić w porządnym tempie.

Melchior nie zmienił wyrazu twarzy. Słuchał, jak słuchają ludzie, którzy dawno nauczyli się, że mina jest informacją i którzy tę informację dawkują z najwyższą oszczędnością.

— Tablice — powiedział.

— Są tutaj. — Elisur wskazał na stół. — Moi ludzie wyjęli je z Przybytku tej nocy co zamach. Kapłani moi zginęli, ale tablice wyszły przez Jordan z pomocą wozu i podmianki. — Jego głos był pozbawiony triumfu, bo triumf jest emocją, a emocje zaciemniają obraz. — Macie to, czego chcieliście. Kamienny zapis prawa ich Boga. Teraz powiecie mi, co z tym zrobicie.

Melchior patrzył na płótno okrywające tablice przez długą chwilę.

— A wy — powiedział w końcu — chcecie wiedzieć, czy ta moc może zostać zatrzymana. Czy można stanąć naprzeciw Arki Przymierza i żyć.

— Mniej więcej — potwierdził Elisur. — Choć precyzyjniej: chcę wiedzieć, czy koalicja królów kanaańskich ma cokolwiek, co postawi Jahwe w równym starciu. Jeśli nie ma — to nie ma też sensu budować tej koalicji w oparciu o siłę militarną. Trzeba szukać innej dźwigni.

Melchior splótł palce. Stary nawyk przy rzeczach wymagających uwagi.

— Mów mi o Jabinie — powiedział.

— Jabin ma dziewięćset rydwanów żelaznych. — Elisur mówił spokojnie, jak człowiek recytujący spis magazynowy. — Ma wojsko zahartowane w walkach z Aramejczykami na północy. Ma mury Hazoru, które są wyższe od murów Jerycha i grubsze o połowę. I ma to, czego Natasz nie ma: czas i dystans. Izrael musi przejść przez cały Kanaan, żeby osiągnąć Hazoru. Po drodze Jerycho, Aj, wzgórze Beniamina, doliny Szefeli. To lata, nie tygodnie.

— A Natasz? — zapytał Melchior.

Elisur uśmiechnął się — tym uśmiechem, który nie był radością, tylko kątem ust informującym rozmówcę, że usłyszał coś przewidywalnego.

— Natasz siedzi na swoim tronie i myśli, że mury Jerycha są nie do zdobycia, bo mury Jerycha nie zostały zdobyte przez trzysta lat. — Elisur oparł się wygodniej. — To jest rodzaj myślenia, który jest skuteczny dokładnie dopóty, dopóki coś trzysta lat starego nie okazuje się przestarzałe. Natasz nie rozumie, z czym ma do czynienia.

— Ale ty rozumiesz.

— Widziałem to na własne oczy. — Po raz pierwszy od początku rozmowy w głosie Elisura pojawiło się coś innego niż chłodna arytmetyka. Nie strach — za dużo to powiedzieć. Coś bliżej szacunku, który u człowieka takiego jak Elisur jest bardziej niepokojące od strachu, bo Elisur szanował rzeczy rzadko i zawsze z powodów praktycznych. — Widziałem, jak Barak syn Aszery rozrywa podwójny sznur wiązany przez zawodowego kata. Widziałem, jak ten sam człowiek walczył z piętnastoma uzbrojonymi i wyszedł z tego żywy. I widziałem, co zostało z moich synów, kiedy kowal Hufca postanowił się nimi zająć.

Cisza w dolnej komnacie. Lampa oliwna strzelała iskrą i milkła.

POLITYKA SĘPA

Baal-Szazar odezwał się z cienia — po raz pierwszy, głosem niższym niż powinien mieć człowiek jego wzrostu.

— Adoni-Bezek z Aj obiecał wojsko.

— Adoni-Bezek obiecał wojsko tym samym tonem, którym obiecał się zastanowić — odrzekł Elisur, nie odwracając się. — W dyplomacji to ta sama kategoria słów. Charam z Hazoru powiedział Nataszowi wprost przy stole: niech Jerycho przyjmie pierwsze uderzenie. Osłabimy Izrael i siebie nawzajem, a my wejdziemy na gotowe. — Wstał. — To nie jest sojusznik. To sęp, który czeka, aż padnie i lew, i antylopa, żeby zjeść obie.

— Natasz wie o tym — powiedział Melchior.

— Natasz wie — potwierdził Elisur — i nadal wierzy, że jego mury wystarczą. Bo przez trzysta lat wystarczały. — Podszedł do stołu. Stał przy owiniętym płótnie i patrzył na nie chwilę, jakby przez skórę i tkaninę i oliwę mirry chciał odczytać coś w języku, którego nie znał. — Mury Jerycha padną. Nie wiem kiedy. Nie wiem jak. Wiem że padną, bo Jahwe prowadzi ten naród i ponieważ w całej historii Kanaanu nie ma precedensu gdy ten Bóg powiedział coś swojemu prorokowi i to się nie spełniło. Jordan rozstał się. Morze Czerwone rozstało się. Egipt leczy rany do dziś.

Podniósł wzrok na Melchiora.

— Jerycho nie jest wyjątkiem. Jerycho jest tylko kolejnym punktem na liście.

Melchior patrzył na niego długo. Stary kapłan miał w sobie tę właściwość, że jego myślenie nie było widoczne na twarzy — toczyło się gdzieś pod nią, w miejscach do których nikt nie miał dostępu, i wychodziło na zewnątrz dopiero kiedy było gotowe.

— Dlatego jestem tutaj — ciągnął Elisur — a nie tam. Zabierzcie swoich ludzi, swoje złoto i swoje tabliczki z rytuałami i jedźcie ze mną

na północ. Tu już nic dla was nie zdziałacie prócz umierania. U Jabina zaczyna się właściwa gra — prawdziwe wojska, prawdziwy czas, i kapłani, którzy mają wartość, bo żyją. Tu są tylko mury, które padną.

Melchior milczał.

— Daj nam noc — powiedział w końcu. — Zbadamy tablice. Jeśli jest sposób, by stanąć naprzeciw tej mocy — znajdziemy go tej nocy. Jeśli nie ma... — urwał i dokończył inaczej, niż zaczął: — Twoje złoto wystarczy na podróż do Hazoru?

— Na podróż i na pierwsze sześć miesięcy — powiedział Elisur. — A potem znajdziemy inne źródła. Zawsze znajdowałem.

Melchior kiwnął głową. Jeden raz. To był koniec targu.

Skinął na swoich pomocników — Baal-Szazara i kilku służących przy ścianie — i mówił krótko, bez zbędnych słów: połowa ma się zbierać przez noc i przygotować wóz na północ, reszta zostaje z nim przy tablicach. Ci, którzy dostawali rozkazy, przyjmowali je bez pytań, bo w świątyni Melchiora pytania zadawano rzadko i z ostrożnością.

STO MIECZY NA ZŁOTO

Elisur wyszedł ze świątyni przed świtem, gdy niebo nad murami wschodnimi Jerycha zrobiło się granatowe. Szerebiasz czekał na niego przy schodach z miną człowieka, który przez całą noc nie spał i który nie jest z tego powodu szczególnie zadowolony.

— Najemnicy — powiedział Elisur, nie zatrzymując się. — Ten oddział przy bramie wschodniej, ci co przypłynęli z wybrzeża. Ilu ich jest?

— Stu, może stu dziesięciu. Filistyni przeważnie, kilku Fenicjan, jeden Hetyta. Pracują dla Natasza od roku, ale kontrakt idzie ku końcowi bo skarb miejski się uszczuplił przez umocnienia.

— Wyślij do ich dowódcy. Niech przyjdzie o świcie do karczmy przy bramie południowej. Sam, bez zbrojnych.

Dowódca najemników miał na imię Szeba z Akko — wysoki, z blizną przez całą prawą stronę twarzy, z oczami, które liczyły wszystko, co widziały, i nigdy nie zatrzymywały się na jednej rzeczy dłużej, niż potrzebowały. Przyszedł punktualnie, sam, z krótkim mieczem przy pasie i z miną kogoś, kto wiele razy siadał naprzeciw ludzi, którzy chcieli coś kupić, i kto wie, że kupujący rzadko mówią wprost, co kupują na początku rozmowy.

Usiadł. Elisur podał mu wino. Szeba wziął kubek i nie pił — trzymał go, bo trzymanie jest neutralne i nie zobowiązuje do niczego.

— Słyszałem — zaczął Szeba — że jesteś człowiekiem Rubena. I że twój kontrakt z Nataszem właśnie się skończył.

— Słyszałeś dobrze — powiedział Elisur. — Mój kontrakt z Nataszem skończył się przed kilkoma dniami. — Wyjął z rękawa tabliczkę glinianą i położył ją na stole między nimi. — To jest lista rzeczy które potrzebuję zrobić przez najbliższe pół roku. Mam na to złoto. Ty masz ludzi. Chciałbym zobaczyć czy to pasuje.

Szeba spojrzał na tabliczkę, ale jej nie wziął. Oglądał ją gdzie leżała.

— Czytam — powiedział po chwili — że chcesz wysłać oddział do obozu izraelskiego.

— Tak.

— Jako kogo.

Elisur splótł ręce na stole. Kiedy tłumaczył plan, mówił powoli i jasno, bo dobry plan tłumaczy się raz i nie wymaga powtarzania.

— Jako uciekinierów z Jerycha. Grupę kupców i rzemieślników pokłóconych z Nataszem o podatki — historia wiarygodna i weryfikowalna, bo podatki Natasa rzeczywiście wzrosły i rzeczywiście ludzie uciekali. Wmieszacie się między tych ludzi. — Przerwa. — Będziecie

mówić że Bóg Izraela wezwał waszego dowódcę we śnie. Że widział światło i usłyszał głos i że serce mu się przemieniło.

Kącik ust Szeby drgnął. Nie uśmiech — coś bliżej oceny.

— Żydzi lubią takie rzeczy — ciągnął Elisur, jakby tego nie zauważył. — Wierzą w sny, w głosy i w nawrócenia. Jozue syn Nuna jest starcem który prowadzi naród przez pustynię od czterdziestu lat i który widział cuda na własne oczy — będzie skłonny przyjąć każdego, kto mówi, że Jahwe go powołał. Pod warunkiem, że mówi to z odpowiedzialną miną i że wcześniej nie nakradł się dość, żeby być rozpoznanym.

— A po przyjęciu — powiedział Szeba.

— Po przyjęciu życie w obozie. Patrzycie. Słuchacie. Zapamiętujecie rozkazy, szlaki, słabości. Raz na dwa tygodnie przez kupca wysyłacie raport. — Elisur przesunął tabliczkę bliżej Szeby. — I kiedy nadarzy się okazja — nie spieszcie się z okazją, poczekajcie na właściwą — Kaleb, Jozue i ten, który nazywa się Barak, wychodzą razem gdzieś w teren bez pełnej eskorty. Macie trzy doby na to, żeby wszystkich trzech zatruć i wrócić do granicy obozu, zanim ktokolwiek zorientuje się, co się stało.

Szeba patrzył na niego. W jego oczach nie było moralnego protestu — zawodowcy rzadko mają moralne protesty, mają tylko kalkulacje ryzyka i ceny.

— To jest droga robota — powiedział.

— Droga robota jest płacona drogo — powiedział Elisur. — Złoto widział twój człowiek kiedy przychodził po ciebie. Reszta przy podpisaniu i reszta po wykonaniu. — Wyjął mały woreczek i położył obok tabliczki. — To jest zadatek na poważne traktowanie rozmowy.

Szeba wziął woreczek. Ważył go w dłoni. Odwiązał. Spojrzał w środek.

Przez moment nie mówił nic. Potem zawiązał z powrotem.

— Mam jedno pytanie — powiedział.

— Pytaj.

— Jeśli mury Jerycha rzeczywiście padną — Szeba mówił spokojnie, jak ktoś, kto mówi o rzeczach, które przeliczył — to Izrael będzie szedł dalej. Wszędzie. W końcu dojdzie do Hazoru albo tam, gdzie będziesz wtedy siedział. Co ty wtedy robisz?

Elisur patrzył na niego z czymś bliskim uznaniu. Ludzie, którzy zadawali właściwe pytania, zawsze zwracali jego uwagę.

— Wtedy — powiedział — siedzę po właściwej stronie. — Wstał. — Bo przez czterdzieści lat patrzyłem na ten naród i wiem jedno: jest jedyna rzecz, której nie da się z nimi zrobić, a tą rzeczą jest ich pokonanie na tyle, żeby nie wstali. Można ich spowolnić, można opóźnić, można wykrwawić. Ale w długim rachunku idą, gdzie idą, i docierają, gdzie zamierzają. Dlatego myślę o następnym pokoleniu, nie o tej wojnie. O tym, kto będzie użyteczny, kiedy ta ziemia zmieni właściciela. I kto będzie miał tyle wiedzy o obu stronach, żeby być niezbędnym dla nowych panów tak samo, jak był niezbędny dla starych.

Szeba patrzył na niego. Potem schował woreczek za pas.

— Kiedy wyjeżdżasz — powiedział.

— Jutro przed świtem — odparł Elisur. — Twoi ludzie mają trzy dni na przygotowanie legend i dołączenie do kolumn uciekinierów przy wschodnim szlaku. Instrukcje szczegółowe dostarczy ci Szerebiasz do wieczora.

Wyszedł z karczmy w blask wstającego słońca. Szerebiasz czekał na zewnątrz z koniem.

— Zgodzili się? — zapytał.

— Tak jak się zgadza każdy, kto liczy lepiej, niż idealizuje — powiedział Elisur, dosiadając konia. — Teraz jedź do świątyni. Chcę wiedzieć, co Melchior znalazł tej nocy.

BADANIE TABLIC

W dolnej komnacie świątyni Baala czas działał inaczej niż na powierzchni. Nie było tu okien, nie było zmiany blasku ani cienia, był tylko bezruch powietrza, który jest w miejscach pod ziemią i który sprawia, że godziny i minuty tracą swoje krawędzie i zlewają się w coś bezkształtnego.

Melchior stał przy czarnym kamiennym stole i patrzył na tablice.

Zdjęli je z płótna powoli, odsłaniając najpierw jeden narożnik, potem drugi. Kamień był szary, gruboziarnisty — nie marmur, nie alabaster, nic co wybrałby ludzki rzemieślnik dla czegoś ważnego. Zwykły kamień z góry. A jednak kiedy lampa oliwna padała na wyryte litery, Melchior widział coś, czego nie umiał opisać w żadnym z siedmiu języków, które znał: litery wyglądały, jakby były głębsze niż ryt narzędzia, jakby ktoś je wyrył nie w kamieniu, ale w samej substancji rzeczy, w tym, co jest pod kamieniem i pod materią i pod wszystkim, czego można dotknąć.

Babilońska tradycja poznania mocy nie jest walką z nią — jest słuchaniem. Tak uczyli starzy kapłani w Babilonie, skąd Melchior wywiózł tę wiedzę czterdzieści lat temu w głowie i w pamięci, bo pisać pewnych rzeczy nie wolno było. Moc ma swoje brzmienie. Każda inna. Zło brzmi inaczej od dobra, ogień inaczej od wody, bogowie znani inaczej od tych nieznanych. Słuchający musi przede wszystkim otworzyć się — nie aktywnie, nie agresywnie, tylko jak naczynie, które czeka na wypełnienie.

Melchior wyciągnął z worka przy pasie dwa przedmioty i położył je na stole obok tablic — płytkę z brązu z wygrawerowanymi znakami Marduka, pana mądrości, i krążek z białego kamienia z Sumeru, który jego nauczyciel dostał od swojego nauczyciela i który miał trzysta lat i który według tradycji potrafił rezonować z obecnością mocy, jakkolwiek ta moc wyglądała. Zapach kadzidła w komnacie stał się gęstszy,

bo Melchior zdjął wieko z naczynia przy ścianie i sinoróżowy dym rozlał się po podłodze jak woda.

Wyciągnął dłoń nad tablicami. Nie dotykał.

— Jest coś — powiedział cicho po długiej chwili.

Baal-Szazar uniósł głowę.

— Czuję obecność. Jak... — szukał porównania i nie znalazł żadnego, które byłoby dość duże. — Jak stanie na krawędzi bardzo głębokiej studni w nocy. Nie widzisz dna. Nie wiesz, jak głęboka jest. Ale wiesz, że jest głęboka. I wiesz, że jest wypełniona.

Baal-Szazar wstał i podszedł do stołu. Wyciągnął własną dłoń.

— Wycofuje się — powiedział po chwili. — Jakby... cofała się.

— Tak. — Melchior zabrał dłoń. — Nie ucieka. Cofa się. To różnica. Ucieczka jest strachem. Cofnięcie jest wyborem. Jakby coś postanowiło nie wychodzić na spotkanie.

Trzeci kapłan — ten bez imienia — wciąż siedział z zamkniętymi oczami i oddychał.

Przez kolejną godzinę próbowali cztery różne techniki — każda z tradycji innej niż poprzednia, bo Melchior był człowiekiem, który zbierał wiedzę jak kupiec zbiera towary, bez uprzedzeń co do źródła. Babilońskie słuchanie. Egipskie wywoływanie przez krew. Fenicka technika rezonansowa z brązowymi naczyniami. Starohurrycka metoda z węzłem i nicią, którą rozwiązuje się, wypowiadając imię mocy.

Przy każdej próbie rezultat był inny — nie było go wcale, albo był i natychmiast się wycofywał, albo brązowe naczynie zadrżało przez chwilę tonem, którego żaden z kapłanów nie umiał przypisać do żadnej oktawy, którą znał.

Melchior siedział przy stole i myślał.

— To jest nie do przebicia od zewnątrz — powiedział w końcu do Baal-Szazara.

— Mówisz to po czterech próbach — powiedział Baal-Szazar.

— Mówię to po czterdziestu latach i czterech próbach — poprawił Melchior. — Jest różnica. — Wstał i obszedł stół dookoła. — Ta moc nie jest wrogiem, którego możemy zaatakować. Nie jest nawet ścianą, którą możemy rozebrać. To jest morze. I my стоим przy brzegu z wiadrem i zastanawiamy się, czy to wystarczy, żeby je wyczerpać.

— Jedno uderzenie — powiedział Baal-Szazar. — Mocne. Wszystko naraz. Może zaskoczymy je zanim się cofnie.

Melchior patrzył na niego. W jego głosie pojawiło się coś, czego tam przedtem nie było: ciężar człowieka, który widzi kilka możliwości, i żadna nie jest dobra, ale jedna jest definitywnie gorsza od innych.

— Może — powiedział. — Ale jeśli masz rację, że cofa się na nasze próby, to tym razem będziemy ją atakowali bezpośrednio. I ona to poczuje. I zobaczymy, co robi z atakiem, który jej nie pozostawia wyboru między wycofaniem a odpowiedzią.

— To jest ryzyko — przyznał Baal-Szazar.

— Całe życie jest ryzykiem — powiedział Melchior. — Pytanie jest tylko, jakie ryzyko jest warte podjęcia.

Baal-Szazar wziął z naczynia przy ścianie garść czarnego proszku — sproszkowane korzenie z rzeki Eufrat, suszona krew byka złożonego na ołtarzu w pełnię — i rozsypał go wzdłuż powierzchni tablic, nie dotykając kamienia. W Babilonie używano tego proszku do wywoływania snów proroczych; tu miał inną funkcję — pokazać przepływ energii, bo proszek reagował na pole tak jak żelazo reaguje na magnes, układając się w linie, których ludzkie oko inaczej nie widzi.

Proszek opadł. Leżał płasko. Żadnych linii. Żadnych wzorów. Jakby nic nie było.

Baal-Szazar stanął naprzeciw tablic.

Zamknął oczy. Przez minutę nic nie robił — tylko oddychał i zbierał w sobie to, co kapłani babilońskiej szkoły nazywali pełnią, ten stan, kiedy cała uwaga jest skupiona w jednym punkcie i kiedy człowiek

przestaje być zbiorem myśli i staje się czymś prostszym i silniejszym: kanałem przez który płynie coś z zewnątrz siebie.

Wyciągnął obie ręce.

Zaczął mówić w starym języku — w tym, który nie miał nazwy, bo był starszy od wszystkich nazw, w języku zaklęć, których nie zapisywano, bo zapis był zbędny dla tych, którzy umieli, i niemożliwy dla tych, którzy nie umieli. Słowa nie były głośne. Nie musiały być. Moc nie mierzy się głośnością, tak jak głębokość studni nie mierzy się krzykiem do niej wrzuconym.

Trzeci kapłan otworzył oczy.

Melchior cofnął się o krok. Odruchowo. Bez decyzji. Coś w jego ciele postanowiło za niego, że powinno być dalej.

Proszek na tablicach poruszył się.

Nie uniósł się w górę — przesunął poziomo, ku środkowi kamiennych płyt, jakby ściągany przez coś w środku, i przez chwilę tworzył wzory, których Melchior nie umiał odczytać, ale które wyglądały jak litery — nie jak litery, które znał, inne, głębsze, z innej warstwy rzeczy niż ta, do której Melchior miał dostęp.

Baal-Szazar mówił dalej.

Powietrze w komnacie zgęstniało. Melchior poczuł to na skórze jak tuż przed burzą — ten konkretny ciężar atmosfery, który jest ostrzeżeniem i który zwierzęta czują wcześniej niż ludzie. Lampy nie zgasły, ale ich blask zmienił kolor — żółty stał się białawy, jakby temperatura ognia wzrosła bez powodu.

A potem — ułamek sekundy który Melchior zapamiętał przez resztę swojego życia — tablice zabłyśły.

Nie blaskiem lampy. Własnym.

Tym błękitem, który jest w samym środku ognia — nie czerwonym, nie pomarańczowym, tym wewnętrznym, rzadkim, który pojawia się przy temperaturach niedostępnych dla zwykłego drewna. Ale to nie był

ogień. Było zimno. Melchior poczuł na twarzy chłód jak przy studni w środku lata.

Przez chwilę — może trzy sekundy, może wieczność, bo czas w tej komnacie był zawodny — wyglądało jak walka. Energia Baal-Szazara otaczała tablice ze wszystkich stron jak woda otacza kamień rzucony do rzeki, oblewała je, wciskała się w wyryte litery, szukała przerwy, pęknięcia, miejsca, gdzie się da wejść.

Tablice wchłonęły ją.

Nie odepchnęły — wzięły. Jak sucha ziemia bierze deszcz. Jednym ruchem, kompletnie, bez reszty.

I przez jedną sekundę Melchior pomyślał że nic się nie stanie, że tablice pochłonęły energię i będą milczeć jak milczały przez cały wieczór.

Potem nastąpiło uderzenie.

C I E Ń

Nie było dźwięku — i to właśnie było najgorsze. Dźwięk jest ostrzeżeniem i jest końcem, i w dźwięku jest coś ludzkiego, jakiś kraj, w którym człowiek może się poruszać. To nie miało dźwięku. To był biały błysk bez kierunku — nie z tablic, z punktu, który przez sekundę był Baal-Szazarem — i coś, czego nie da się opisać słowem ciepło, bo ciepło jest przyjazne, a to nie było przyjazne, to było absolutne.

Melchior trafił w ścianę.

Nie wiedział jak się tam znalazł. Był przy stole i nagle był przy ścianie i między jednym miejscem a drugim nie było żadnego ruchu, którego był świadom. Podnosił powieki powoli, ostrożnie, nie wiedząc, co znajdzie po drugiej stronie.

Ciemność.

Nie zupełna — lampy wciąż płonęły, przynajmniej dwie z czterech — ale przez chwilę oczy odmawiały rejestrowania czegokolwiek i ciemność była wewnętrzna, siatkówkowa, rodzaj oślepienia, które nie jest ślepotą, ale jest jego sąsiadem.

Melchior mrugał. Raz. Dwa. Pięć razy.

Zobaczył stół. Tablice stały na nim — nieruszone, zimne, szare jak były od początku. Proszek był rozsypany bez wzoru, jak gdyby nic go nie ułożyło i nic nim nie poruszyło.

Na miejscu gdzie stał Baal-Szazar była plama.

Ciemna. Nieregularna. Kształtu, który był kształtem człowieka stojącego z wyciągniętymi ramionami — sylweta wypalona w kamienią podłogę tak, jak wypalają się cienie ludzi, gdy błyskawica uderza zbyt blisko. Sylweta, gdzie powinny być nogi. Sylweta, gdzie powinny być ramiona. Sylweta, gdzie powinien być kształt głowy nachylonej lekko do przodu w skupieniu.

Tylko sylweta.

Nic więcej.

Melchior patrzył na nią przez długą chwilę. Coś w jego gardle próbowało zostać słowem i nie mogło, bo nie było słowa na to, co widział. Były słowa na klęskę, były słowa na śmierć, były słowa na apostazję i na wszelkie formy teologicznej porażki, które kapłan mógł napotkać przez całe życie. Na to nie było słowa.

Trzeci kapłan dotknął jego ramienia od strony ściany. Żył. Był przy ścianie jak Melchior, wyrzucony tam tą samą siłą, i teraz stał i patrzył na cień w podłodze i jego dłonie — te, które przez całą noc modliły się osobno od właściciela — były absolutnie nieruchome po raz pierwszy odkąd Melchior go pamiętał.

— Tablice — odezwał się trzeci kapłan. Głos miał suchy jak pył. — Odwozimy je do Babilonu. Do starszych. — Przerwa. — To przerasta nas obu.

Melchior patrzył na cień w podłodze.

Potem odwrócił się.

— Pakujemy się — powiedział. — Dziś w nocy. I wysyłamy wiadomość do Elisura, że jedzie z nami.

Wyszedł schodami do góry, ku powierzchni, ku powietrzu, które nie było tym powietrzem, co przed chwilą — albo było dokładnie tym samym i to on był inny. Jerycho za ścianami świątyni żyło swoim porankiem: głosy, dzieci, ktoś wołający z targu. Miasto, które nie wiedziało.

Melchior stanął przy wyjściu i przez chwilę patrzył na mury — te mury, które przez trzysta lat nie padły przed żadnym wrogiem — i pomyślał o studni. O staniu na krawędzi studni w nocy i wiedzy, że jest głęboka i że jest wypełniona.

Pomyślał też o tym, co się wypełnia samo, gdy ktoś atakuje je z zewnątrz.

A potem przyszło pytanie — i było to pytanie, które miało odtąd nie opuścić Melchiora już nigdy, towarzyszyć mu przez całą drogę na wschód i dalej, przez wszystkie lata które mu zostały: *co tam jest?*

Bo wszyscy mówili, że wiedzą. Izraelici mówili: to są przykazania, słowa Prawa, dziesięć zdań wrytych palcem ich Boga. Elisur mówił: to jest źródło ich siły, narzędzie, które wystarczy przejąć. Kapłani Baala mówili: to jest moc obcego boga, którą można złamać albo zawłaszczyc. Każdy miał swoją odpowiedź, gładką i pewną.

A Melchior, który tej nocy stał najbliżej i widział najwięcej, wiedział teraz jedno: że wszyscy się mylą. Że to nie są tylko słowa wryte w kamieniu — bo słowa nie wymazują człowieka w cień na podłodze. Że to nie jest narzędzie — bo narzędzie się chwyta, a tego nie dało się chwycić. Że to nie jest nawet moc w tym sensie, w jakim Melchior rozumiał moc przez czterdzieści lat — bo moc walczy albo ucieka, a to ani nie walczyło, ani nie uciekło: *pozwoliło się atakować i*

samym pozwoleniem zniszczyło napastnika, jakby litery na kamieniu były tylko wierzchem czegoś, drzwiami do czegoś, skorupą wokół czegoś — a to coś było większe niż świątynia, większe niż Babilon, większe może niż świat.

Tablice nie były tajemnicą, którą się rozwiązuje. Były tajemnicą, która rozwiązuje ciebie — bierze twoje pewności, twoją wiedzę, twoje czterdzieści lat nauki, i pokazuje ci, że stałeś przy krawędzi studni przez całe życie, nazywając ją kałużą.

I Melchior wiedział, idąc po schodach ku porankowi, że już nie spocznie, póki nie dowie się, co jest na dnie. Choćby to dno miało go pochłonać, jak pochłoneło Baal-Szazara. Bo są pytania, które gdy raz wejdą do człowieka, jedzą go od środka aż do odpowiedzi albo do śmierci — a to pytanie właśnie w niego weszło, i Melchior, stary i mądry i pozbawiony złudzeń, poznał je i nie próbował się bronić. Za stary był na złudzenie, że można odwrócić wzrok od studni, gdy raz się w nią zajrzało.

Co tam jest?

I ruszył zbierać swoje rzeczy.



Dom przy Murze



Dalia leżała na plecach i patrzyła w sufit.

Nie w kamień sufitu — przez kamień sufitu, w to, co było za nim i za niebem i za wszystkim, co ma krawędzie i wagę. Przez trzynaście lat nauczyła się rozróżniać dwa rodzaje patrzenia: to, które zatrzymuje się na powierzchni, i to, które ją przekracza. Pierwsze jest zwykłe. Drugie kosztuje i jest niebezpieczne, i ona nie zawsze potrafiła je kontrolować, co było jak posiadanie noża, którego nie można schować — można go odłożyć, ale jest.

Jerycho spało. Dom Rachab spał — słyszała oddech starszej kobiety za ścianą, ciche poruszenie Elama, który przez sen zmienił pozycję, melodię, którą ktoś nuci pół przytomny w głębi ulicy, tak cicho, że tylko ona by ją usłyszała. Miała tak od dziecka — uszy, które słyszą za dużo, gdy reszta ciała śpi i gdy filtry, które człowiek nosi za dnia, opadają razem z powiekami.

Zamknęła oczy.

Nie żeby zasnąć. Żeby zobaczyć.

PODRÓŻ

Zaczęło się jak zawsze — od ciepła. Nie ciepła ognia ani słońca, ale ciepła wewnętrznego, tego, które wychodzi z centrum klatki piersiowej i rozchodzi się na zewnątrz powoli, fala po fali, jak kręgi na wodzie po wrzuconym kamieniu. Oddychała spokojnie. Raz. Dwa. Dziesięć. Ciało na posłaniu robiło się ciężkie jak mokre płótno, i jednocześnie — paradoks, który rozumiała, ale nie umiała wyjaśnić — coś innego robiło się lżejsze.

Leciutkie. Bez ciężaru.

Sufit przestał być przeszkodą.

Nie przeszła przez niego — nie tak. Bardziej: przestał dotyczyć. Kamień i wapno i belki stropowe były, gdzie były, ale ona była też, gdzie była, i to dwa różne porządki rzeczy, które nie muszą ze sobą rozmawiać, jak dwa głosy w tej samej pieśni, które nigdy się nie nakładają.

Jerycho z góry, z tej wysokości, którą miała i która nie była wysokością mierzoną w łokciach, wyglądało jak coś żywego i uśpionego jednocześnie. Dachy płaskie, białe w bladym blasku księżyca. Dym z dogasających ognisk snujący się między uliczkami. Mury — te mury, które od dziecka wiedziała, jak wyglądają od środka, ale teraz widziała też z zewnątrz, i to był widok, który zaciskał coś w piersi, bo mury były potężne, naprawdę potężne, siedemnaście łokci grubości w dolnej części i wysokie jak klif, z wieżami co sto kroków i ze strażnikami, którzy chodzili rytmicznie i nie wiedzieli, że ona ich widzi.

Skierowała się na wschód.

Nie myślała o kierunku. Chciała go, co jest inne — pragnienie jest kompasem, i ciało, które nie ma ciężaru, idzie tam, gdzie serce. Serce miało kierunek od lat. Od trzynastu lat. Od tamtej nocy w namiocie ojca, kiedy miała sześć lat i Sira trzymała ją za rękę i mówiła nie bój się, i potem Siry nie było.

Jordan był widoczny już z daleka — srebrna wstęga w ciemności, szeroka jak żadna rzeka, którą widziała. Ale nie taka jak wcześniej. Wcześniej Jordan był rzeką. Teraz był czymś przeprawnionym — i Dalia zobaczyła dlaczego, i coś w niej zamarło i rozkwitło jednocześnie.

Po zachodniej stronie Jordanu leżał obóz.

O B Ó Z

Słyszała go, zanim go zobaczyła — dźwięk tysięcy ludzi oddychających razem, tętent bydła, uderzenie kowadła, gdzie ktoś pracował nocą, dziecko płaczące gdzieś w głębi, śpiew ze strażnicy niski i miarowy. Zapach przyszedł razem z dźwiękiem: manna i dym i zwierzęta i metal i coś jeszcze, coś trudnego do nazwania, zapach, który mają miejsca, gdzie ludzie żyją razem od pokoleń, i który jest gęstszy od samej obecności, jakby tłum pozostawiał po sobie warstwę tkanki w powietrzu.

Znała ten zapach. Miała sześć lat, kiedy go czuła ostatni raz, i pamięć zapachu jest inna od pamięci słów — słowa można stracić, zapach wraca, jak gdyby nigdy nie odchodził i jest zawsze aktualny, zawsze teraz.

Dom. To pachniało domem.

Obóz w Gilgal rozciągał się na równinie jak miasto — miasto z płótna i skóry, bez kamienia i bez murów, ale z porządkiem głębszym niż mury, porządkiem pokoleń i tradycji i Prawa, które organizuje przestrzeń tak samo pewnie jak wapno i kamień. Dwanaście kręgów wokół centrum, każdy ze swoim znakiem, każdy z własną muzyką i kolorem ognia.

Dalia szukała.

Nie wzrokiem — intuicją, tym szóstym zmysłem, który miała od dziecka i który tutaj, w tym stanie, był ostrzejszy niż wszystkie

pozostałe. Ciepło od ludzi, które czuła nie jako temperaturę, ale jako coś bliżej emocji — złość jest gorąca i czerwona, spokój jest niebieski i rozchodzi się wolno, miłość ma kolor złota i drga. Tysiące tych sygnałów naraz, miasto emocji, gęste jak las.

I pośród tego lasu — znane drzewo.

Poczuła go, zanim go zobaczyła. Ten specyficzny ciężar spokoju zmieszanego z niepokojem, tę ciepłą obecność człowieka, który przez całe życie robił żarty z trudnych rzeczy, bo inaczej nie wiedział, jak je nosić.

Boaz.

B o a z

Siedział przy ognisku — gruby, starszy, z brodą zupełnie białą teraz i z mniejszą ilością włosów niż pamiętała, ale z tą samą rundą twarzy, z tą samą miną człowieka, któremu świat jest śmieszny, nawet kiedy nie jest, i który uważa to za swój obowiązek wobec świata. Trzynaście lat. Trzynaście lat starszy. Siedzenie miał to samo — rozkraczone, z łokciami na kolanach, z kubkiem w dłoni, wygodne jak coś zadomowionego.

Obok niego Mirta. Mniejsza niż pamiętała — albo Dalia była wtedy mała i wszystko było większe. Siwizna w warkoczach. Twarz spokojna z tym spokojem, który jest cnotą wypracowaną, nie daną. Robiła coś z wełną w dłoniach, tym konkretnym ruchem, który Dalia widziała przy krosnach przez lata — palce pracowały osobno od właścicielki, z nawyku głębszego niż myślenie.

Dalia chciała krzyknąć.

Wujku. Mirto. Tu jestem, tu, zaledwie krok od was, patrzcie w lewo, w górę, gdziekolwiek, ja tu jestem—

Ale jej głos nie istniał w tym miejscu. Ciało astralne nie ma głosu, który fizyczny świat słyszy — może tylko być obecne, widzieć, słyszeć, czuć, i to jest wszystko. To jest kara i dar jednocześnie, i przez trzynaście lat Dalia ćwiczyła przyjmowanie obu bez walki.

Podeszła bliżej.

Boaz mówił do Mirty — cicho, tym głosem, który miał do niej, innym niż ten do innych ludzi, głosem, który był cieplejszy o jakiś odcień. Słyszała wyraźnie.

— Mówią, że Jordan stanął. Całkowicie. Kapłani weszli i rzeka po prostu przestała. — Prychnął przez nos. — Starcy pokolenia mi to opowiadają, jakby sami widzieli, a połowa z nich spała jak zwykle i słyszała to od żony, która słyszała od sąsiadki.

— Ale stanął? — zapytała Mirta, nie podnosząc oczu od wełny.

— Stanął — powiedział Boaz. — Bo Abner mi powiedział, a Abner był tam naprawdę i Abner kłamie wyłącznie o swoim wieku i o tym, ile wina wypił. W reszcie rzeczy jest dokładny jak rachunki.

Mirta kiwnęła głową. Przez chwilę oboje siedzieli w ciszy, i Dalia widziała, jak para emocji, której nie można opisać słowem, przepływa między nimi — coś między ulgą a strachem, między radością a smutkiem, ten konkretny kolor, który mają uczucia dorosłych ludzi, kiedy spełnia się coś, na co czekali tak długo, że zdążyli zapomnieć, jak to wyglądało.

— Myślisz, że Dalia żyje — powiedziała Mirta. Nie pytanie. Coś, co jest powiedziane, bo musi być powiedziane, bo jeśli się tego nie powie głośno, to leży w środku zbyt ciężko.

Boaz patrzył w ogień przez długą chwilę.

— Sira żyje i widzimy ją w obozie — powiedział w końcu. — Sira sobie poradzi, zawsze poradziła. — Prychnął tym swoim śmiechem, który nie był śmiechem z radości tylko śmiechem z determinacji. — Ale Dalia. Trzynaście lat, Mirto. Trzynaście lat przy każdym kupcu i

każdym posłańcu z Kanaanu, przy każdym, kto mógł cokolwiek wiedzieć. Wiem tylko, że żyje i że jest gdzieś za tamtymi murami. To za mało i za dużo jednocześnie.

Żyją — chciała powiedzieć Dalia. Żyjemy. Ja tu jestem, naprzeciwko ciebie, wujku, trzynaście lat starszy i trzynaście lat tęskniący i nie mogę cię dotknąć, ale tu jestem.

Dotknęła jego dłoni.

Nie fizycznie — wiedziała że nie może. Ale było coś, jakiś ruch woli, który jest bliższy miłości niż myśli, i Boaz w tym momencie uniosł głowę i przez sekundę patrzył dokładnie tam, gdzie była, z miną kogoś, kto usłyszał coś, co nie było dźwiękiem.

Potem wrócił do ognia.

— Zjemy te placki, czy mam wołać bliźniaków — powiedział do Mirty.

— Bliźniaki śpią — powiedziała Mirta — i niech śpią, bo jak nie śpią, to kłócą się o coś głupiego i przez pół obozu słyszać.

Efron i Elan. Dalia uniosła się trochę wyżej i patrzyła na namiot Boaza — duży, z kilkoma przegrodami jak wszystkie rodzinne namioty tutaj — i przez płótno ścian widziała ich, dwóch mężczyzn śpiących po obu stronach wewnętrznej ściany, każdy z ramieniem pod głową, każdy z tą samą rozłożoną pozycją która była ich przez całe życie. Rówieśnicy. Jej rówieśnicy, lat dwadzieścia z kawałkiem teraz, z zarostami i ramionami i z tymi samymi twarzami, które pamięta jako twarze ośmiolatków — tyle że wydłużone i zmęczone w sposób, który przychodzi od lat i od pustyni i od życia które nie jest lekkie.

Żyją, chciała powiedzieć wujkowi. Wszyscy żyjemy.

Poszła dalej.

SIRA

Znalazła ją po zapachu.

Nie po zapachu fizycznym — po zapachu, który mają aury ludzkie, kiedy człowiek ma w sobie pewien rodzaj zmęczenia połączony z pewnym rodzajem siły. Sira pachniała jak żelazo i jak coś starego, jak blizny, które zrosły się poprawnie, ale zostają na zawsze. Dalia rozpoznała ją zanim zobaczyła twarz.

Siedziała przy małym ogniu na skraju obozu — sama, jak zwykle, bo Sira zawsze miała instynkt do krawędzi przestrzeni, do miejsc, gdzie plecy są osłonięte i widać wszystko przed sobą. Twardsza niż w pamięci, bez tamtej miękkości, którą mają dzieci, nawet kiedy udają twardość. Blizny na przedramionach — nowe, świeże, i stare, i bardzo stare. Oczy wpatrzone w ogień z tą konkretną uwagą człowieka, który myśli o czymś konkretnym i nie zamierza się z tym podzielić.

Dalia stała nieruchomo i patrzyła na siostrę.

Trzydzieści lat. Szczęść plus trzydzieści to dziewięćdziesiąt — kobieta, nie dziewczynka, z mieczem przy pasie i z dwiema pochewkami na nożach i z tym bezruchem przed ogniem, który jest bezruchem kogoś, kto nauczył się, że ruch kosztuje, i który oszczędza go na właściwy moment.

Przy Sirze, pół kroku z tyłu, siedział mężczyzna z łukiem leżącym na kolanie. Wysoki, chudy, z twarzą bez wielu blizn, ale z oczami, które widziały zbyt wiele. Nie patrzył na Sirę — patrzył w tę samą stronę co ona, jakby razem patrzyli na coś, czego pozostali nie widzieli. Ich milczenie było inne od milczenia dwojga obcych — to milczenie, które jest rozmową, i Dalia zrozumiała, że coś między nimi jest, nie wiedząc jeszcze co, ale jest, i ona to widzi bo emocje są jej językiem.

Przy nodze mężczyzny leżał pies. Ogromny, czarny, z łbem na przednich łapach i z jednym uchem uniesionym, tym czuwającym

nawet we śnie. I ten pies — Dalia poczuła jak coś ściska ją w piersi — uniósł nagle łeb i patrzył prosto na nią.

Żółte oczy. Nieruchome. Skupione.

Pies ją widział.

Nie miała wątpliwości — bo psy czują inaczej niż ludzie, i to, co ona tu robiła, ta jej obecność bez ciała, była czymś w zasięgu jego zmysłów, choć poza zasięgiem ludzkich. Leżał i patrzył, z tą spokojną intensywnością zwierzęcia, które ocenia coś nieznanego i jeszcze nie zdecydowało, co z tym zrobić.

Potem opuścił łeb.

Sira spojrzała na niego z boku — ten szybki gest człowieka, który jest przyzwyczajony czytać psa jako system wczesnego ostrzegania. Pies nie warczał, nie wstawał. Sira wróciła do ognia.

Dalia stała przy siostrze i chciała krzyczeć i nie mogła, i to bolało bardziej niż cokolwiek co ból fizyczny może zaproponować, bo to był ból, który nie ma miejsca, gdzie mógłby wyjść, który zostaje w środku bez ujścia. Widziała każdą bliznę. Widziała, jak Sira oddycha — równo, w sposób kontrolowany, bo nawet oddech ma u niej dyscyplinę. Widziała tę twardość, która jest ochroną, i tę miękkość, która gdzieś pod nią jeszcze jest, i wiedziała, że ta miękkość jest dlatego, że Sira żyje wśród ludzi, którzy pozwalają jej istnieć.

Żyjesz — chciała powiedzieć. Ja też żyję. Jestem blisko, nie tak blisko jak tu, ale blisko. Przy murze Jerycha, przy kobiecie której można ufać, i wiem co nadchodzi i chciałabym żebyś wiedziała że będę tu kiedy przyjdiesz.

Wyciągnęła rękę.

Jej palce przeszły przez ramię siostry bez oporu, bez dotyku, bez żadnego śladu — ciało astralne nie zostawia śladów, dotyk jest przywilejem materii, i ona materią tu nie jest. Ale pies uniósł łeb jeszcze raz. I tym razem zawarczał — cicho, gardłowo, w tym kierun-

ku, gdzie była — i Sira zwróciła się ku niemu z dłonią na rękojeści noża.

— Co jest, Cieniu — powiedziała cicho.

Pies milczał. Patrzył. Potem strzyknął uszami i położył łeb z powrotem.

Sira siedziała z dłonią na nożu i patrzyła w ciemność za ogniskiem. Prosto na Dalię. Jej oczy nie widziały nic — ciemność jest ciemna dla tych, którzy patrzą fizycznie — ale coś w jej twarzy przez ułamek sekundy zmieniło wyraz, coś pod tym twardym spokojem, coś, co wyglądało jak pytanie bez słów.

Dalia cofnęła się.

Poczuła, że zaraz wróci — ten konkretny ciężar, który zaczyna się gdzieś w środku, gdy przedłuża się za długo, i który jest sygnałem, że ciało jest daleko i że chce wrócić, że połączenie się ścięcza jak nić przędzy, kiedy się ją za bardzo naciągnie. Jeszcze chwila. Jeszcze chwila.

Goliath był widoczny z daleka — po prostu po tym, że był większy od reszty obozu, jak drzewo, które wyrasta ponad inne drzewa i które jest widoczne w lesie właśnie dlatego, że jest ponad nim. Siedział przy kowadle, a nie było to ćwiczenie — obrabiał coś, powoli, z tą koncentracją rzemieślnika, który robi ostatnią próbę na ważnym kawałku. Przy nim Miriam — siostra, młodsza, z twarzą spokojną na granicy z wyczerpaniem, zwijająca coś z rzemieni.

Dalej — Tirza, córka Jozuego, przy namiocie straży, z łukiem przez ramię i z tą postawą kogoś, kto jest gotowy, nawet kiedy nie jest na służbie. Barak — tego Dalia widziała jako ostatniego, bo jego nie można było przegapić, nie dlatego, że był duży, ale dlatego, że był w środku, że obóz był jak okrąg i on gdzieś pośrodku tego okręgu, że ludzie przy ogniskach mieli go w polu widzenia bez szukania.

Stał przy Jordanie.

Sam — no, nie sam, bo Cień przy nim, i ten pies przy Sirze był teraz inny, przy Baraku zupełnie nieruchomy i skupiony, całym sobą w jednym miejscu. Barak patrzył na zachód, na ciemność, gdzie za tą ciemnością były Jerycho i mury i to wszystko, co miało nastąpić, i w jego postawie było coś, co Dalia widziała tylko u ludzi, którzy niosą coś naprawdę ciężkiego i którzy nauczyli się nosić to tak, żeby nie widać było ciężaru.

Syn Mojżesza, powiedziała sobie. To jest syn Mojżesza i idzie po nas.

Nić się zerwała.

Nie dramatycznie — prosto, jakby ktoś po prostu zabrał świat i zastąpił go innym. Kamień sufitu. Ciężar ciała. Ciepło posłania pod nią. Zapach nocy w jej pokoju — trzcina i kurz i odrobina dymu z kuchni Rachab i ten specyficzny zapach murów Jerycha, ten stary, kamienny zapach, który wsiąka we wszystko, co jest blisko na tyle długo.

Dalia leżała bez ruchu przez długą chwilę.

Potem powiedziała do sufitu, cicho, żeby nie obudzić nikogo za ścianą:

— Żyjesz, Siro.

I coś w niej, coś, co siedziało zwinięte przez trzynaście lat jak zwierzę, które czeka, aż minie niebezpieczeństwo, rozluźniło się o jeden stopień. Tylko jeden. Ale jeden wystarczył, żeby oddychać głębiej.

PORANEK W DOMU RACHAB

Wiadomość przyszła przed świtem.

Nie jak wieść — jak fala. Jeden człowiek przybiega od bramy wschodniej z twarzą koloru ściany i krzyczy coś do strażnika, strażnik

krzyczy do wartownika, wartownik biegnie do koszar i w ciągu kwadransa Jerycho ma gardło pełne jednego słowa: przeszli.

Dalia słyszała to ze swojego pokoju, bo okno wychodziło na uliczkę i uliczka prowadziła do bramy i przy bramie stał tłum, który rósł z minuty na minutę, i głosy, które się w nim nakładały, dały się w końcu złożyć w kilka zdań: Jordan stanął. Izrael przeszedł suchą nogą. Stoją w Gilgal.

Wstała. Owinęła się w płótno i wyszła na dziedziniec.

Rachab była już tam — ta kobieta miała instynkt do chwil, które wymagają bycia na nogach, i ta chwila wyraźnie taki instynkt uruchomiła. Stała przy bramie dziedzińca z rękami skrzyżowanymi i słuchała, i jej twarz była spokojna w sposób, który nie był obojętnością — była skupieniem człowieka, który przetwarza informacje i jeszcze nie skończył.

— Słyszałaś? — powiedziała Dalia.

— Słyszę — powiedziała Rachab. Bez pytania co. — Wiedziałas, że to nastąpi.

Nie było to oskarżenie. Nie było to zaskoczenie. Rachab przez trzynaście lat mieszkała z Dalią i przez trzynaście lat uczyła się, co oznacza wiedzieć pewne rzeczy zawczasu — nie jako dar magiczny, jako ciężar, który Dalia nosi i który Rachab nauczyła się szanować, nie pytając, skąd pochodzi.

— Wiedziałam — powiedziała Dalia. — Od kiedy miałam pięć lat.

Rachab przyglądała się jej. W jej oczach był ten wyraz, który mają dojrzałe kobiety, kiedy słyszą coś, co jest prawdziwe i co im nie ułatwia życia.

— Powiedz mi — powiedziała. — Ile czasu mamy.

Dalia myślała. Nie o dacie, bo dat nie widziała — o tym, co czuła tej nocy, o tym, jak wyglądał obóz, o ilości ognisk i o szerokości szyku i o

tym, że Barak stał przy Jordanie i patrzył na zachód z miną kogoś, kto oblicza, a nie czeka.

— Nie dużo — powiedziała.

Z ulicy za murem dobiegały krzyki. Coraz głośniejsze, coraz bardziej rozbite, ten specyficzny chaos, który jest nie tłumem zorganizowanym, ale tłumem przestraszonym, gdzie każdy krzyczy w swoim kierunku i nikt nikogo nie słucha i wszystkie głosy razem tworzą jeden dźwięk, który nie jest krzykiem, tylko paniką.

Elam wyszedł na dziedziniec — dwudziestodwuletni, z twarzą roześpaną i z miną kogoś kto obudził się za wcześnie i jeszcze nie rozumie co się dzieje. Syn Hirama, ten, którego Dalia uzdrowiła z gorączki, kiedy miał sześć lat, i który od tamtej pory przynosił jej kamienie z wyschłych rzek i zadawał pytania o Boga, pytania, które rosły razem z nim i stawały się poważniejsze z każdym rokiem.

— Co się dzieje — zapytał, patrząc na matkę.

— Izrael przekroczył Jordan — powiedziała Rachab spokojnie. — Stają w Gilgal.

Elam patrzył na nią. Potem na Dalię. Potem znowu na matkę.

— I co teraz — powiedział.

— Teraz — powiedziała Rachab — zwołują naradę u Natasza. I budowniczywie pójdą do murów. I kowale pójdą do kuźni. I kapłani Baala pójdą... — zawiesiła się na chwilę i nie dokończyła, bo kapłanów Baala już nie było w świątyni, a ona o tym wiedziała, bo słyszała wozy o czwartej w nocy, i wiedziała, że to jest wiadomość osobna i na inną chwilę. — I wszyscy będą robić to co zawsze robią kiedy się boją.

— Będą się bać głośniejsz — powiedziała Dalia.

Rachab spojrzała na nią z czymś co było blisko uśmiechu, gdyby okoliczności pozwalały na uśmiech.

— Właśnie tak — powiedziała.

NARADA NATASZA

W wieży przy bramie wschodniej, w tej samej komnacie gdzie Natasz przyjmował posłańców Charama i Adoni-Bezka kilka tygodni wcześniej, zebrali się teraz inni ludzie — nie sojusznicy, własni, ci którzy odpowiadali za mury i za wojsko i za to żeby miasto stało kiedy powinno stać.

Natasz radził z dowódcami garnizonu, a Jerycho było małe i wiadomości chodziły ulicami jak woda po kamieniu, więc zanim słońce weszło wysoko, Dalia wiedziała już tyle, co każdy przy studni: że mury są silne, wody starczy na pół roku, zboża na cztery miesiące, że forteca trzyma się dłużej niż armia w polu. Przy murach od świtu stukały narzędzia budowniczych dosypujących wapno w stare szczeliny — bo strach jest dobrym nadzorcą robót.

Szner pojawił się przy wejściu do domu Rachab o południu.

Dalia słyszała jego kroki jeszcze na schodach — ten specyficzny rytm, który ma człowiek, kiedy idzie z powodów, które sam przed sobą uzasadnił jako rozsądne, ale które są w istocie czymś innym, kroki zbyt szybkie na spacer i zbyt pewne na pośpiech. Stanął w progu dziedzińca i patrzył na nią z tą swoją miną — przystojną i wyostrzoną i z oczami, które oceniały jak zawsze, jak przez te wszystkie lata, jak w pierwszym dniu, kiedy zapytał, kim jest ta dziewczynka i czy da się ją jakoś utrzymać w ryzach.

— Słyszałaś — powiedział. Nie pytanie.

— Słyszałam — powiedziała Dalia.

Wszedł na dziedziniec. Był dobrze uzbrojony — miecz, sztylet przy udzie, pancerz pod płaszczem, gotowy tak, jak gotowi są ludzie, którzy wiedzą, że coś nadchodzi, i którzy postanowili być gotowi. W Sznerze było zawsze coś, co budziło w Dalii ostrożność — nie zło, bo zło jest proste i jednorodne. Coś bardziej skomplikowanego: człowiek, który

jest zdolny do lepszych rzeczy niż te, które robi, i który nie zawsze wie, dlaczego wybiera gorsze.

— Moja matka chce, żebyście siedziały w środku — powiedział. — Obie. Nie wychodzić przy bramach, nie rozmawiać z żołnierzami, nie dawać powodów do zainteresowania.

— Rozumiem — powiedziała Dalia.

— Nie sądzę — powiedział Szner. W jego głosie było coś, co nie było pogardą, ale było blisko. Jakby chciał powiedzieć coś trudniejszego i wybrał coś łatwiejszego zamiast. — Nie rozumiesz tego, co ja rozumiem. Nie wiesz, co to znaczy mieć miasto za plecami i wiedzieć, że może nie wystarczyć.

Dalia patrzyła na niego.

— Wiem — powiedziała. — Tylko inaczej niż ty myślisz.

Szner patrzył na nią. Przez chwilę w jego twarzy mignęło coś, czego Dalia rzadko u niego widziała: pytanie. Nie retoryczne — prawdziwe, z niepewnością za nim.

Potem zasunął za nim zasłonę zwykłości i wyszedł.

Dalia patrzyła za nim. Przy bramie zatrzymał się na chwilę, nie odwracając się, jakby coś chciał powiedzieć i zdecydował, że nie. Potem wyszedł w uliczkę i jego kroki zanikły w hałasie miasta, które tego dnia po raz pierwszy od trzystu lat naprawdę się bało.

Jerycho się bało głośno — tak jak powiedziała, głośniejsz niż wcześniej, głosami przekupni i żołnierzy i kobiet przy studniach i dzieci, które nie rozumiały, co się stało, ale rozumiały, że dorośli się boją i że to jest zawsze gorsze od samego niebezpieczeństwa. Przy bramach stały teraz podwójne warty. Przy murach budowniczowie nie przerywali przez całą noc. Na wieżach ognie paliły się ciągle.

I pośrodku tego wszystkiego Dalia siedziała przy oknie wychodzącym na dziedziniec z palmą i patrzyła na mury — te mury, których los знаła od pięciu lat — i myślała o żółtych oczach psa, który ją widział, i

o siostrze przy ognisku, i o Boazie z kubkiem w dłoni przy ogniu, i o tym, co nadchodzi, co jest jednocześnie końcem jednego świata i początkiem drugiego.

Modliła się krótko i bez słów, bo Jahwe nie potrzebuje słów, potrzebuje kierunku serca.

A jej serce wiedziało gdzie jest.



ROZDZIAŁ II

Gilgal



Obóz w Gilgal był miastem.

Nie miastem z kamienia — miastem z płótna i skóry i drewna i tysiąclecia przyzwyczajęń, które organizują przestrzeń tak pewnie jak mury i bramy, tylko bez widocznych granic. Z powietrza — gdyby ktoś mógł patrzeć z powietrza — wyglądało jak coś żywego: ogromny organizm rozłożony na równinie w Gilgal, ze swoim własnym rytmem i kolorem i głosem, ze swoim własnym porządkiem, który był głębszy od jakiegokolwiek porządku, który można narzucić z zewnątrz.

Dwanaście kręgów. Jeden za drugim, każdy ze swoim znakiem wywieszonym na drągu przy wejściu — bo naród, który przez czterdzieści lat nie miał nic stałego, wie, że tożsamość nosi się w chorągwi i w pieśni i w kolorystyce szaty, i że te rzeczy są ważniejsze od kamienia, który zostaje, gdy ludzie odchodzą.

DWANAŚCIE KRĘGÓW

Na wschodzie, twarzą ku wschodzącemu słońcu, rozbił się obóz Judy — i było w tym coś właściwego, bo Juda szedł zawsze pierwszy i

zawsze z twarzą ku jutru. Namioty były szkarłatne przy wejściach, bo szkarłat jest barwą Judy od czasów których nikt nie pamiętał, od tych czasów, gdy Jakub leżał umierając i wyciągał ręce ku synom i mówił im, kim są. Mężczyźni z Judy to byli szerokie barki i twarze wyrte przez pustynię, i miecze przy pasach noszone z tą pewnością kogoś, kto nie musi udowadniać, że umie ich używać.

Obok nich Issachar — spokojniejsi, z końmi a nie pieszo, z tymi długimi twarzami uczonych mężów, którzy przez całe życie liczyli gwiazdy i wiedzieli, kiedy siać i kiedy zbierać, a którzy teraz liczyli odległości i kąty i czas potrzebny, żeby dojechać pod mury.

I Zabulon, ten nadmorski, z mężczyznami, którzy wychowali się nad wodą i którym pustynia nigdy w pełni nie leżała — ale szli, bo obietnica jest obietnicą i Kanaan jest Kanaanem.

Na południu Ruben — i tu było coś cichszego, coś co nie wymagało komentarza ale było obecne jak cień. Ruben był pierwszym synem Jakuba i przez czterysta lat nosił się z tą świadomością, i przez czterdzieści lat pustyni też, a po niedawnych zdradach w obozie nowi dowódcy krwawo przywrócili porządek. Teraz sztandary były czyste, mężczyźni stali w szykach i patrzyli przed siebie z miną kogoś, kto ma coś do udowodnienia i kto to wie.

Obok Ruben — Symeon, rozrzucony po innych pokoleniach, bez własnego terytorium, co jest karą, która trwa wieki. I Gad, który w przyszłości weźmie ziemię za Jordanem i o tym wie, i to go jednocześnie cieszy i niepokoi, bo ziemia za Jordanem jest bliżej wrogów niż Kanaan, a wrogów Gad zawsze miał dużo.

Na zachodzie — twarzą ku Jerycho, bo zachód to był kierunek i cel i przeznaczenie — synowie Józefa. Efraim, z którego Jozue sam pochodził, z wojownikami spokojniejszymi niż Juda ale nie mniej twardymi, z tą konkretną dumą pokolenia, które wie, że jego czas nadchodzi. I Manasses, i Beniamin — ci ostatni z łukami, bo Beniamin

był pokoleniem łuczników od kiedy pamiętano, mężczyźni, którzy potrafili strzelać prawą i lewą ręką z tą samą precyzją i którzy przez całą przeprawę przez Jordan nie spuścili cięciwy z oka.

Na północy Dan i Aser i Neftali — i to byli ci, którym pustynia wzięła coś więcej niż innym, bo ich terytoria będą na krańcach, daleko, i długo jeszcze poczekają na to, co pozostałym będzie dane wcześniej. Ale stali. Bo taki jest naród — że stoi razem, nawet kiedy powodów brakuje, i to jest może definicja narodu, ta jedna.

Pośrodku, w centrum wszystkich kręgów, Tabernakulum — ten ogromny namiot ze złotem i purpurą i bisorem, ten, który rozkładano i składano czterdzieści lat i który za każdym razem stawał tak samo, bo kapłani znali każdą lukę i każdy sznur i każdą kłamrę i robili to we śnie, bo w tym żyli. I przed Tabernakulum teren wyznaczony dla Lewitów — tych, którzy nie mają własnego dziedzictwa, bo Jahwe jest ich dziedzictwem, co jest teologicznie piękne i praktycznie skomplikowane i czego Lewici nie wypowiadają głośno, ale czasem można to zobaczyć w ich twarzach.

Tak wyglądało Gilgal z daleka. Z bliska wyglądało jak życie — głośne, cuchnące, cudowne, z dziećmi, które biegały między namiotami, i z kobietami, które gotowały, i z mężczyznami, którzy ostrzyli miecze, i z psami i z osłami i z kozami i z całym tym ludzkim chaosem, który jest dowodem, że coś trwa i oddycha i nie zamierza się zatrzymać.

BARAK I KALEB

Barak znalazł Kaleba tam, gdzie zawsze — przy swoim namiocie, z mieczem opartym o kolano i z kubkiem czegoś ciepłego, co przy Kalebie mogło być naparem ziołowym albo winem rozcieńczonym, i o

co Barak nigdy nie pytał, bo Kaleb na pytania tego rodzaju odpowiadał spojrzeniem, które kończyło rozmowę.

Osiemdziesiąt pięć lat. Może więcej. Twarz wyrzeźbiona przez pustynię w coś, co nie jest już zmarszczkami, lecz topografią człowieka, który przeżył zbyt wiele, żeby dać się zaskoczyć — i który mimo wszystko stoi prosto jak włócznia i chodzi bez laski i patrzy na horyzont tym wzrokiem, który mierzy odległości i liczy wszystko jednocześnie.

— Usiądź — powiedział Kaleb, nie otwierając oczu.

Barak usiadł. Obóz żył wokół nich — dźwięk i zapach i ruch i ta specyficzna energia miejsca, gdzie dużo ludzi żyje blisko i wie, że jutro może wyglądać zupełnie inaczej od dziś.

— Jozue chce rytuału — powiedział Barak.

— Wiem, że chce — powiedział Kaleb. — I ma rację. Całe pokolenie urodzone na pustyni nie nosi znaku przymierza. Bóg tego wymaga, zanim wymagać będzie czegokolwiek innego.

— To unieruchomi nas na trzy dni. Może cztery.

— Wiem.

— Jerycho widzi nasz obóz. Widzi że stoimy. Mogą uderzyć.

Kaleb otworzył oczy. Spojrzał na Baraka tym spojrzeniem, które miał na rzeczy, które go bawiły, a bawiło go w ludziach, kiedy mówili coś rozsądnego z miną kogoś, kto myśli, że mówi coś odkrywczego.

— Mogą uderzyć — potwierdził spokojnie. — Ale nie uderzą. Bo widzieli Jordan. A człowiek, który widział Jordan i widział, jak rzeka staje — taki człowiek nie wychodzi zza murów z włócznią w tym samym tygodniu. Natasz przylgnie do swoich murów jak krab do skały i poczeka żeby zobaczyć co zrobimy. To jest jedyna rozsądna strategia dla kogoś na jego miejscu.

Barak siedział z tym.

— A jeśli się myli co do Natasza — powiedział.

— Jeśli się mylę — powiedział Kaleb — to Hufiec umrze sławnie i ja zdążę jeszcze kogoś zabrać ze sobą. — Upił łyk z kubka. — Ale się nie mylę.

Siedzieli chwilę w milczeniu. A potem Kaleb zrobił to, co robił czasem i czego Barak nie lubił, bo stary wódz był jedynym człowiekiem na świecie, który umiał przejrzeć go na wylot — odstawił kubek i spojrzał na niego z ukosa.

— Pytasz o Natasza, o mury, o trzy dni — powiedział. — Zawsze pytasz o robotę. Nigdy o siebie. — Przerwa. — Wiesz, że przez te wszystkie lata, odkąd ci powiedziałem, czym jesteś synem, nie zapytałeś mnie ani razu, jak to jest. Kim byłby twój ojciec dla ciebie. Co czuję, patrząc na ciebie. Nic. Pytasz tylko o pięty wykroczone za nisko i o szyki i o mury.

Barak nie odpowiedział od razu. Bo Kaleb dotknął rzeczy, której Barak nie dotykał nawet sam, gdy był sam.

— Bo to nie jest moje do pytania — powiedział w końcu. — Mojżesz jest wasz. Narodu. Proroka się nie dzieli z bękartem schowanym po to, żeby go nie zabili razem z resztą rodziny. — Wzruszył ramionami, gestem, który miał być obojętny, a nie był. — Nauczyłem się dawno, żeby nie chcieć rzeczy, które nie są moje. A moje nie jest prawie nic, Kaleb. Imię ojca — nie moje, bo skryte. Naród — nie mój, bo prowadzą go inni i dobrze. Nawet to życie, odkąd umarłem pod Jerychem i wróciłem, czuję jak pożyczone. Więc o co mam pytać? O rzeczy pożyczone się nie pyta. Pożyczonych się pilnuje i oddaje w porządku.

Kaleb patrzył na niego długo, i w jego starej twarzy było coś, czego Barak rzadko u niego widział — nie rozbawienie, którym Kaleb kwitował świat, lecz smutek.

— I to jest twoja choroba, chłopcze — powiedział cicho. — Większa od każdej rany, jaką możesz dostać w boju. Że nauczyłeś się

nie chcieć. — Pochylił się. — Wiesz, co odróżnia cię od Elisura? Bo myślisz pewnie, że dobro i zło. A ja ci powiem, że nie. Was obu złamano. Obu was świat nauczył, że nie dostaniecie tego, czego chcecie. Tylko Elisur z tej nauki wyciągnął: więc wezmę siłą wszystko. A ty wyciągnąłeś: więc nie będę chciał niczego. — Pokręcił głową. — I nie wiem, chłopcze, które z tych dwóch jest smutniejsze. Bo człowiek, który nie chce niczego dla siebie, jest niby święty — ale jest też wpół umarły. A ty masz dwadzieścia parę lat i nie wolno ci być wpół umarłym.

— Czego mam chcieć — powiedział Barak, i zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzał, bo Kaleb trafił w żywe. — Powiedz. Czego ma chcieć człowiek, który jest tajemnicą, ogniem i narzędziem, a nie wie nawet, czy następny dzień jest jego, czy pożyczony?

— Tirzy — powiedział Kaleb po prostu. — Dla początku. Chciej Tirzy. Nie jako nagrody za służbę, nie jako rzeczy, którą wolno ci mieć, bo zasłużyłeś. Po prostu chciej jej, bo jej chcesz, jak chce zwykły człowiek zwykłego szczęścia. Ożeń się. Miej dzieci. Bądź czasem nikim — nie synem Mojżesza, nie ogniem, nie dowódcą Hufca, tylko mężem, który wraca wieczorem do namiotu, gdzie ktoś na niego czeka. — Wziął kubek z powrotem. — Świat i tak będzie chciał z ciebie zrobić bohatera. Twoim zadaniem nie jest mu w tym pomagać. Twoim zadaniem jest pilnować, żeby pod bohaterem został człowiek. Bo bohater bez człowieka w środku to jest dokładnie to, czym stał się Elisur.

Barak siedział z tym długo, i nie odpowiedział, bo nie miał odpowiedzi — ale coś w nim, jakiś mięsień, którego trzymał zaciśniętym tak długo, że zapomniał, iż go trzyma, drgnął na słowo „chciej”, jakby usłyszał w obcym języku słowo, które kiedyś znał.

— Pomyślę o tym — powiedział w końcu. Bo tyle umiał obiecać.

— Nie myśl — powiedział Kaleb. — Myślenie to twoja kryjówka. Po prostu chciej. To trudniejsze i krótsze.

RYTUAŁ

Jozue ogłosił postój rankiem drugiego dnia.

Nie ogłosił — rozkaz przyszedł od Boga, co jest inną kategorią niż rozkaz ludzki, i Jozue przekazał go tak jak przekazywał zawsze: spokojnie, bez dramatyzmu, z tą suchą pewnością kogoś, kto wie, że słowa Boga nie wymagają ozdób, żeby brzmiały poważnie. Naród usłyszał i milczał przez chwilę — bo naród wiedział, co to oznacza, i milczenie było rozumiejące, a nie przestraszone, co jest różnicą ważną.

Kapłani Lewitów przygotowali noże z krzemienia.

Nie z brązu — z krzemienia, bo tak było od Abrahama i bo tradycja ma swoje krawędzie, których nie szlifuje się dla wygody. Krzemień jest starszy od brązu i ostrzejszy od żelaza i ma w sobie coś z ziemi przed wszystkim co człowiek do niej dodał. Kapłan trzymający nóż z krzemienia trzyma nóż, który mógłby być w rękach patriarchów, i to jest teologia wyryta w materiale narzędzia.

Barak stał przy swoich ludziach i patrzył jak Hufiec ustawia się w kolejce.

Trzystu. Jeden po drugim. Każdy z tą samą twarzą — nie strachu dokładnie, coś między skupieniem a poddaniem się czemuś, co jest większe od bólu, który zaraz nadejdzie. Wojownicy rozumieją ból inaczej niż pozostali — nie dlatego, że go mniej czują, ale dlatego, że wiedzą, że ból minął się z rzeczą, dla której go ponieśli, i że kalibrowanie jednego wobec drugiego jest sprawą ćwiczoną przez lata.

Goliath wszedł bez słowa. Wysoki jak zawsze, spokojny jak zawsze — z tą konkretną miną rzemieślnika, który ma do wykonania pracę i który skupia się na pracy, a nie na komentarzu do pracy. Wyszedł bez

słowa. Usiadł przy swoim namiocie i zacisnął zęby i nic nie mówił, bo Goliath był człowiekiem, który ból traktował jak informację, a nie jak rozmowę.

Eltolad wszedł z tym swoim zwykłym wyrazem kogoś, kto patrzy na świat z pewnej odległości i który decyduje się nie komentować. Wyszedł z tą samą miną. Cień obszedł go dookoła jak zawsze przy powrocie z czegoś — sprawdzał zapach, oceniał stan, decydował. Potem usiadł obok i położył wielki łeb na jego nodze, co było komunikatem wystarczająco wyraźnym.

Sira nie wchodziła — bo rytuał dotyczył mężczyzn, ale stała na skraju i obserwowała, bo obserwowanie było jej językiem. Barak widział, jak patrzy — nie z ciekawości, z tego konkretnego skupienia kogoś, kto analizuje, co przeżywają inni, nie żeby oceniać, ale żeby rozumieć.

Tirza stała obok Baraka.

— Trzy dni — powiedziała cicho.

— Co najmniej — powiedział Barak.

— Jerycho będzie czekać.

— Jerycho będzie czekać — potwierdził. I żadne z nich nie powiedziało więcej, bo trzy dni to trzy dni i Jerycho to Jerycho i to wszystko co wiadomo na teraz.

Przez trzy dni obóz w Gilgal był cichy — inaczej niż kiedy indziej, tą szczególną ciszą bólu, który jest przeżywany zbiorowo. Tysiące mężczyzn od najmłodszych po dojrzałych, każdy ze swoją raną i ze swoim sposobem na noszenie jej — i ta różnorodność sposobów była bardziej wymowna niż cokolwiek, co mogłaby powiedzieć teologia. Jedni spali. Jedni modlili się cicho. Jedni siedzieli przy ognisku i gapili się w nic. Nieliczni — jak Goliath — brali się za pracę, bo praca jest najlepszą narkozą, która nie zabija.

Jerycho nie uderzyło.

Kaleb nie powiedział nic na temat swojej słuszności. Barak też nie. To był rodzaj rozmowy który odbywa się bez słów między ludźmi którzy szanują się wystarczająco żeby nie potrzebować głośnego potwierdzenia.

Trzeciego dnia wieczorem Jozue powiedział do starszyny:

— Dziś Jahwe odtoczył od nas hańbę Egiptu. — I nie wyjaśnił, co miał na myśli, bo ci, którzy wiedzieli — wiedzieli, a reszcie wystarczyło słyszeć głos Jozuego, który mówił to bez patosu, jak fakt.

Miejsce w Gilgal gdzie to się stało nazwano Gilgal właśnie — od hebrajskiego słowa na toczenie, na odtaczanie, na ten ruch który jest odwróceniem czegoś. Nazwy miejsc są często takie: proste, z jednym słowem, które jest kluczem do całej historii dla tych, co wiedzą, jak go użyć.

STU ZBAWCÓW

Czwartego dnia, gdy obóz wracał do normalnego rytmu i przy wschodnich wartach zmieniano wartę, pojawili się.

Sto jeden. Może sto pięć — Eltolad policzył ich z odległości, bo Eltolad liczył wszystko z odległości i miał w tym precyzję wynikającą z lat praktyki. Szli pieszo, bez koni, bez wozów, z dobytkiem, który mieścił się w tobołkach na plecach — to był ważny szczegół, bo ludzie z wozami mają coś do stracenia i idą inaczej od tych, którzy stracili już wszystko i mają tylko ciało i to, co niosą na plecach.

Przed nimi szedł jeden — wysoki, z blizną przez całą prawą stronę twarzy, z brodą przyciętą niestarannie jak u kogoś, kto golił się w pośpiechu albo bez lustra. Oczy spokojne i liczące, z tym nawykowym ruchem, który mają oczy zawodowych żołnierzy — nikogo nie mijają bez rejestracji, wszystko jest potencjalnym zagrożeniem albo potencjalnym atutem, do rozstrzygnięcia przy bliższym kontakcie.

Stanęli przed wartownikami przy wschodniej bramie obozu.

— Jesteśmy zbiegami z Jerycha — powiedział wysoki, po aramejsku, z akcentem wybrzeża. — Kupcy i rzemieślnicy. Król Natasz podwoił podatki trzeci raz w roku i skonfiskował towar Bedana syna Amma, który jest z nami i który przez całe życie płacił w terminie. Nie jesteśmy wrogami Izraela. — Przerwa, krótka, wyważona. — Nasz dowódca miał sen.

Wartownik spojrział na niego z tą miną służby wartowniczej wobec twierdzenia którego nie może ani potwierdzić ani zaprzeczyć.

— Czekajcie tutaj — powiedział.

Szeba z Akko stał i czekał. Za nim sto jego ludzi stało i czekało — ze spokojem zawodowców, którzy wiedzą, że czekanie jest częścią pracy i że niecierpliwość jest błędem, który kosztuje. Szeba patrzył na obóz Izraela przez przestrzeń między wartownikami i widział to, co miał zapamiętać: rozmieszczenie namiotów, szerokość przejść między nimi, pozycje straży, odległości. Zapamiętywał mechanicznie, bez wysiłku, bo przez dwadzieścia lat robił to w każdym nowym miejscu i pamiętanie stało się częścią wzroku.

Kaleb przyszedł osobiście.

Szeba to odnotował — że stary człowiek przyszedł osobiście i że ten stary człowiek poruszał się bez laski i patrzył na niego tym wzrokiem, który liczy człowieka nie przez to, co mówi, ale przez to, jak stoi, kiedy to mówi. Szeba znał taki wzrok. Sam miał taki wzrok. Polubił Kaleba natychmiast, co było złym znakiem, bo ludzi, których się lubi, trudniej oszukiwać z pełną wydaynością.

— Zbiegowie z Jerycha — powiedział Kaleb. Nie pytanie. Ocena wstępna.

— Tak jest, panie.

— I dowódca miał sen.

— Tak jest, panie. — Szeba mówił spokojnie, bo kłamstwo wypowiedziane spokojnie jest mniej podobne do kłamstwa niż to samo kłamstwo wypowiedziane z nadmiernym przekonaniem. — Widział światło i usłyszał głos. Powiedział nam: Bóg Izraela jest Bogiem żywym i prowadzi swój naród ku Kanaanowi. Kto stanie przeciw niemu, tego kroków nie zliczy, a kto stanie z nim — ten będzie żył. To są jego słowa. Nie moje. Ja jestem żołnierzem i żołnierz mówi, co widzi, nie co wierzy.

Kaleb patrzył na niego.

— Żołnierz — powiedział. — Skąd żołnierz wśród kupców.

— Kupcy na drodze z Jerycha potrzebują ochrony — powiedział Szeba. — Ja i moi ludzie zapewniali tę ochronę przez ostatni rok. Kiedy zdecydowali się wyjść — wyszliśmy razem.

— Ile was jest.

— Stu jeden. Z czego osiemdziesięciu to moi ludzie, reszta to ci, których chroniliśmy. — Szeba mówił z tą otwartością kogoś kto nie ma powodu niczego ukrywać, bo otwartość w kwestiach weryfikowalnych buduje zaufanie w kwestiach, których nie weryfikujesz. — Mamy broń, panie. Własną. Nie zamierzamy jej chować, bo to wyglądałoby podejrzanie. I nie zamierzamy jej składać, bo rozbrojony żołnierz to niebezpieczny żołnierz — dla was i dla mnie.

Kaleb milczał.

— Przyszlście ze wschodu — powiedział. — Od strony Jerycha.

— Tak jest.

— Jerycho ma zamknięte bramy od dnia, gdy Jordan stanął.

Szeba nie mrugnął. Przygotował tę odpowiedź pięć dni temu i od tamtej pory przerobił ją w głowie może dwadzieścia razy.

— Wyszliśmy przed tym — powiedział. — Trzy dni marszu. Słyszeliśmy o Jordanie w drodze, od pasterzy. Wrócić nie mieliśmy po co.

Kaleb przyglądał mu się jeszcze. Potem odwrócił się.

— Chodźcie — powiedział. — Porozmawiam z Jozuem.

CIEŃ

Cień siedział przy namiocie Hufca i nie robił nic.

Nie spał — Cień nigdy nie wyglądał jak coś co śpi, nawet kiedy spał. Leżał z łbem na przednich łapach i z jednym uchem uniesionym i patrzył na grupę nowych przybyłych, którą Kaleb prowadził przez obóz, i coś w tym patrzeniu było inne od zwykłej czujności strażnika.

Eltolad to zobaczył.

Nie dlatego że obserwował psa — obserwował obóz, bo obserwowanie obozu jest jego pracą i on robi ją zawsze. Ale pies był częścią obozu i zachowanie psa było informacją, i Eltolad od lat nauczył się czytać tę informację z tą samą uwagą co odcisk buta w piasku albo kierunek dymu nad ogniskiem.

Cień nie warczał. Nie wstawał. Nie pokazywał zębów. Leżał i patrzył na nowych ludzi i miał ten wyraz — Eltolad znał ten wyraz, widział go przy Zimrim i Zebulunie, i przy kilku innych ludziach przez lata — który nie był wrogością ani strachem, ale był czymś ważniejszym od obojętności. Jakby katalogował. Jakby zapamiętywał.

Eltolad odszedł spokojnie, bez pośpiechu, żeby nie sygnalizować niczego, i znalazł Baraka przy wschodnim kręgu, gdzie rozmawiał z Amramem o zaopatrzeniu. Stał obok i powiedział cicho, bez teatru:

— Cień ich śledzi wzrokiem.

Barak spojrzał na niego. Potem na psa. Potem na grupę nowych przy namiocie Jozuego.

— Nie warcząc — powiedział.

— Nie warcząc — potwierdził Eltolad. — Ale śledzi.

Barak wrócił do Amrama i skończył rozmowę o zaopatrzeniu, bo zaopatrzenie jest ważne niezależnie od wszystkiego innego, i dopiero

potem — spokojnie, bez sygnalizowania czegokolwiek — przeszedł w kierunku namiotu Jozuego, żeby być w pobliżu, gdy Kaleb wróci z raportem.

Szeba z Akko stanął przed Jozuem.

Stary wódz siedział za prostym stołem z mapą na nim — mapą Kanaanu, odręcznie rysowaną, z oznaczeniami, które tylko on rozumiał — i patrzył na nowego człowieka z tą spokojną intensywnością kogoś, kto przez czterdzieści lat czytał ludzi w sytuacjach, kiedy błąd w odczytaniu kosztował życia.

Szeba powiedział swoją historię. Potem powiedział ją jeszcze raz na pytania Jozuego, bo stary wódz pytał spokojnie i rzeczowo i bez złośliwości, i na wszystkie pytania Szeba miał odpowiedzi — bo Elisur przez tydzień przed wyruszeniem siedział z nim godzinami i grał Jozuego, zadając każde pytanie, które Jozue mógłby zadać.

Jozue słuchał.

Potem powiedział:

— Zostaniecie w obozie. Osobno, na skraju, przy wschodnim ogrodzeniu. Nie wolno wam chodzić do centrum bez eskorty. Broni nie składacie, bo macie rację, że rozbrojeni żołnierze są niebezpieczni. Ale nie chcę, żeby była noszona w centrum obozu. — Patrzył przez chwilę. — Rozumiesz warunki?

— Rozumiem — powiedział Szeba.

— I jeszcze jedno — powiedział Jozue. Jego głos był spokojny jak zawsze, bez podkreślenia, bo Jozue mówił ważne rzeczy dokładnie tym samym tonem co nieważne i to było jego metoda. — Mamy psa. Nie jest na smyczy i robi co chce. Jeśli kiedykolwiek poczujesz się przez niego nieswojo — powiedz mi. Nie jemu. Mnie.

Szeba kiwnął głową.

Nie zapytał dlaczego pies. Nie skomentował. Wyszedł i prowadził swoich ludzi na wskazane miejsce przy wschodnim ogrodzeniu i w

drodze powiedział do jednego ze swoich, po fenicku, nie ruszając warg bardziej niż potrzeba:

— Pilnujcie psa. Pies jest problemem.

Cień leżał przy namiocie Eltolada i patrzył za nimi jak szli przez obóz.

Nie ruszył się.

Ale ucho było uniesione jeszcze długo po tym, jak zniknęli za namiotami, i Eltolad, który siedział obok i ostrzył grot strzały, odnotował to w tej części głowy, gdzie przechowywał informacje, które jeszcze nie mają nazwy, ale które kiedyś jej potrzebują.

